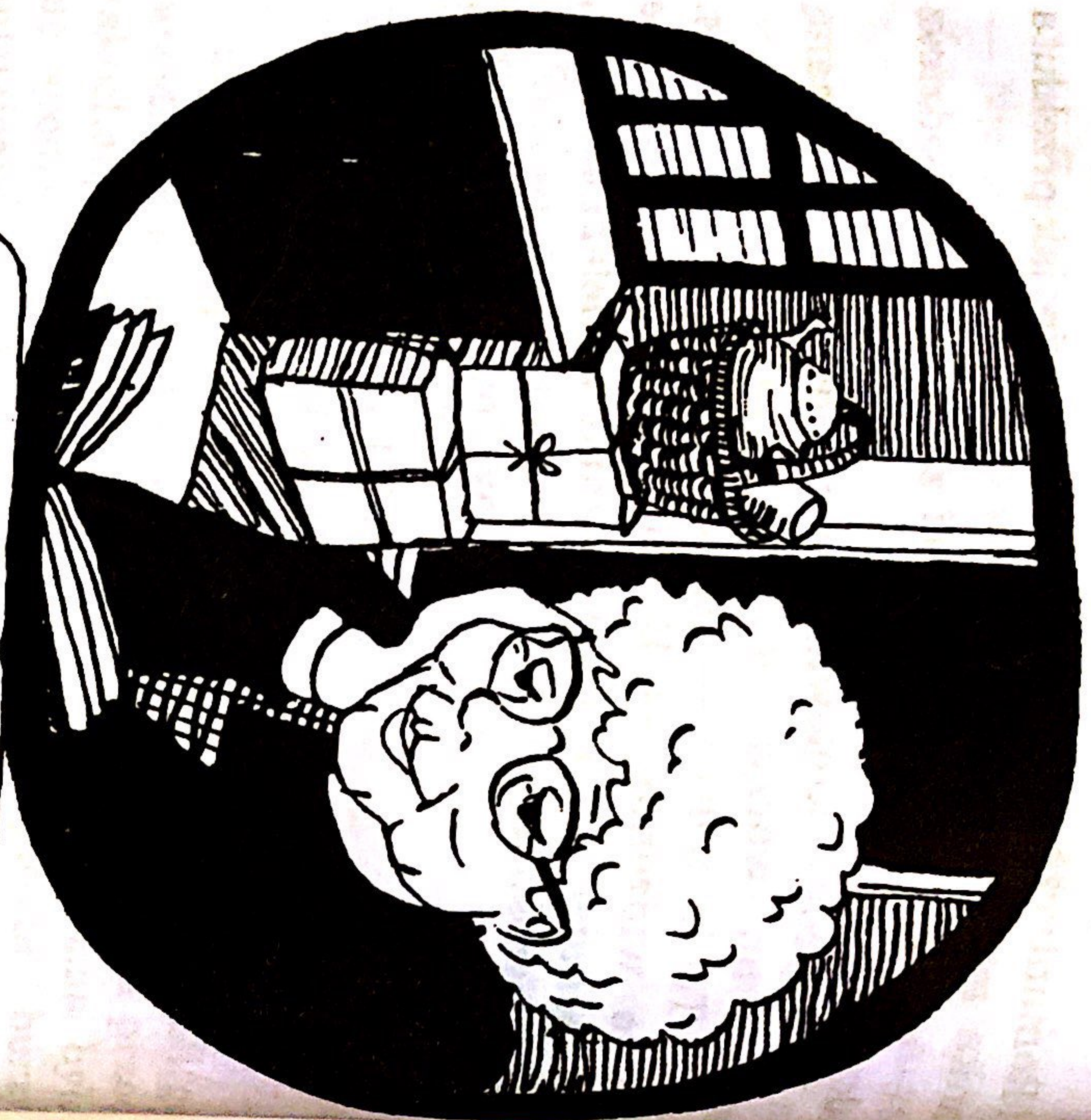




SOBOTA, 24 CZERWCA

Ranek tego dnia był ponury, zimny i deszczowy. Nasza trójka, która wczorajszy wieczór spędziła na zbieraniu sieci z panem Adamskim, a potem pomagała w malowaniu kuchni, aż do późnej nocy, teraz po-
grążona była w kamiennym śnie. Mama, co prawda, obudziła się jak zwykle o szóstej, ale ujrawszy sunące tuż za oknem ciężkie, napompowane wilgocią chmury, przypomniała sobie, że nie musi zaraz biec

do pracy, zamknęła czym prędzej oczy, otuliła się rozkosznie ciepłąką kołdrą i — ukołysana monotonym stukaniem wielkich kropli deszczu — zapadła w stan błogiej nieświadomości.

Tylko Babcia, nie zważając na pogodę, rażno zerwała się z łóżka. Pierwsze kroki skierowała do łazienki, gdzie zaaplikowała sobie zimny prysznic. Był to jej codzienny zwyczaj, który wpędzał w kompleksy pozostałych członków rodziny: nikt nie miał dość hartu, by dorównać Babci pod tym względem. Następnie, odziewszy się wytwornie i włożwszy świeży fartuszek, czcigodna staruszka udała się do kuchni, pogwizdując bluesa. Stawiając w progu, rozejrzała się z uznaniem.

— Teraz to naprawdę nieźle wygląda — powiedziała sobie, tocząc oknem po świeżutkich, kremowych ścianach, i zabrała się do gotowania kawy zbożowej.

Kawa, jak to kawa, oczywiście wykpiła, napełniając cały dom zapachem wiejskiego śniadania. Tylko że dziś żadne, nawet najsmakowitsze zapachy, nie mogły nikogo wywabić z łóżka. Toteż Babcia zjadła śniadanie sama, a ponieważ nie musiała dzisiaj świecić przykładem, ograniczyła ilość spożywanego mleka do minimum. Ze stosu powiązanych w paczki książek wydobyła tom Gogola, w karygodny sposób podparła się łokciem i z lubością zaczęła czytać przy jedzeniu (czego najsurowiej broniła zarówno córce, jak i wnukom). Miłe to były chwile.

Radio, które do tej pory mamrotało niewyraźnie na temat buraków, zaczęło nagle występować po angielsku. Na słuchaniu ulubionych piosenek i lek-

turze noweli „Płaszcz” zbiegł Babci miły kwadransik — aż wreszcie zdecydowała, że dalsze leniuchowanie byłoby już nieprzyzwoitością wobec panującego w kuchni nieporządku. Co prawda, Munio i Tunio zobowiązali się wczoraj wieczorem, że umyją dzisiaj podłogę po malowaniu, a także powynoszą i spalą zachlapaną farbą stare gazety; Babcia jednak była zbyt ruchliwa, by móc patrzeć beczynn timer na ten bałagan. Zebrała na początek gazety i zwinawszy je w dużą paczkę, wyniosła do hallu.

Tu nagle zamarta, tuląc w ramionach poplamione papierzyska. Od drzwi wejściowych aż na schody biegły ślady zabłoconych, męskich butów odbitych wyraźnie jak pieczętki na porzkładanych gazetach. „Przecież na pewno zamykałam na noc drzwi wejściowe!” — pomyślała Babcia i podeszła bliżej schodów. Ślady prowadziły na piętro, gdzie spokojnym snem spali chłopcy, Mama i Rządkiwka.

Babcia rzuciła pęk gazet tam, gdzie stała i nie dbając wcale o zachowanie ostrożności, pobiegła w górę po skrzypiących schodach.

Od razu z ulgą dostrzegła, że drzwi od pokoiku, gdzie spały dzieci, są zamknięte, podobnie jak drzwi pokoju, w którym dzisiejszej nocy spała ona sama z córką. Natomiast drzwi trzeciego pokoju, w którym „na tymczasem” zgromadzono różne paczki i meble, były lekko uchylone.

Babcia zatrzymała się. Nasłuchiwała. Wokół panowała cisza, dopiero po chwili zza uchylonych drzwi dał się słyszeć przyciszony szmer, czy westchnienie.

Jest tam! — pomyślała Babcia. — Na pewno ma „zamiary, bo po cóż by się włamywał? Co robić, co robić?”

Stała chwilę bezradnie. Biec po pomoc? Krzyczeć? Nie, nie może zrobić niczego takiego. No, tak, ale przecież nie rzuci się na złoczyńcę z gołymi rękami! Chwileczkę: przecież w hallu, na dole, jest telefon! Zawróciła i ostrożnie postawiła nogę na stopniu. Deski przeraźliwie pisnęły.

Wobec tego Babcia zbiegła na dół, nie starając się już o zachowanie cizy. Ujęła słuchawkę telefonu, postukała w widelki. Po dłuższej chwili, kiedy Babcia spościła się już ze zdenerwowania, w słuchawce odezwał się znudzony głos:

— Słucham? Centrala.

— Proszę mnie połączyć z milicją! — gorączkowym szeptem powiedziała Babcia, słysząc z przerażeniem skrzypnięcie podłogi na piętrze.

— Głośniej proszę! — obraziła się dama w słuchawce.

Teraz skrzypiały już schody.

— Proszę mnie połączyć z milicją! — Babcia uznała, że nie ma sensu mówić szeptem, skoro kroki zbliżają się już do zakrętu schodów.

— Nic nie rozumiem! — powiedział głos w słuchawce z wyraźną pretensją. — Z kim połączyć? Halo! Halo!

Ale Babcia już nie odpowiedziała. Wypuściła z ręki słuchawkę i osunęła się na podłogę, ogłuszona silnym uderzeniem w skroń.

Trzasnęły drzwi wyjściowe, ktoś zatupał na ganku i zapanowała cisza.

— Jest godzina szósta pięćdziesiąt — powiedział uprzejmie radio w kuchni.

*

Stefan Adamski wyminął wielką kałużę i zszedł z drogi na ścieżkę, prowadzącą do biblioteki. Deszcz lał potokami, bulgotał, dzwonił, szeleścił i pluskał. — Ani żywego ducha! — zaśmiał się Stefan, patrząc na drogę. — Dlaczego ludzie tak się boją deszczu? — On sam szedł z odkrytą głową, pozwalając deszczowi spływać po rudej czuprynie i wlewać się za kołnier. Od rana był w świetnym humorze i kiedy matka poprosiła go, żeby zaniósł mleko pani Ptaszkowskiej, wybiegł na deszcz z prawdziwą radością. Świat był piękny, pachniało świeżością i mokrą zielenią. Ziemia z wdzięcznością wchłaniała wodę, trawy i liście wyglądały, jakby się cieszyły.

Przeskoczywszy następną kałużę, Stefan gwizdnął przez zęby. Znajoma postać brnęła przed nim ku bibliotece: Luteczek, zmoknięty i nieszcześliwy, pchał rower przez gęste błoto. Kiedy go Stefan dogonił, listonosz obdarzył go spojrzeniem wyrażającym jednocześnie podziw i niechęć. Stefanowi zrobiło się trochę żal. Luteczek ubrany był w płaszcz przeciwdeszczowy, ale i tak wyglądał jak zmokła kura. Spod kapturka wystawał smutno jego siny nos i sterczały zmoknięte wąsiki.

— Dzień dobry — rzucił Stefan. — Dokąd to tak wcześniej?

Pan Luteczek spojrzał na niego bojaźliwie i wykręcił się odpowiedzcią, że idzie sobie po prostu na skróty.

Usunął się z drogi w popłochu, gdy rudy olbrzym zdecydował się go wyminąć.

W pobliżu biblioteki Stefan dostrzegł jakiegoś mężczyznę, idącego spiesznym krokiem. Przez strumienie deszczu niewiele było widać, dopiero gdy Stefan podszedł bliżej, rozpoznał w osłoniętym parasolem dżentelmenie pana Wojtczaka z apteki. Na pozdrowienie Stefana pan Wojtczak zareagował zmieszaniem i ukrył za plecami długą, herbacianą różę. Wreszcie, uporawszy się z różą i parasolem, spytał podejrzliwie:

— Pan do pani Ptaszkowskiej?

— A, tak. Mleko niosę, no i mam tam pomóc w remoncie.

— To tak jak ja! — rzekł pan Wojtczak. — Ale wie pan, za wcześniej się wybraliśmy, oni jeszcze śpią. Stukałem nawet dość mocno, ale nikt nie odpowiada.

— Nie śpią chyba, na parterze pali się światło. W kuchni.

— No, to ja nie wiem — wyznał pan Wojtczak.

Kiedy i tym razem nikt nie odpowiedział na pukanie, Stefan nacisnął klamkę. W mrocznym hallu słysząc było dobiegającą z kuchni wesołą muzyczkę.

— O! — krzyknął nagle pan Florian. — Tam ktoś leży! Tam, przy telefonie.

— Zemdlą! — powiedział Stefan, trzymając Babcię za puls. — Chociaż nie — tu, na skroni, jest krew. Pan Florian krzyknął przejmująco.

— Krew! Lekarza! Lekarza!

— Spokojnie — mitygował go Stefan. — Po co straszyć resztę rodziny. Niech no pan poda tę skrzynkę

z kąta, posadzimy panią, o tak. Ja zadzwonię po doktora Bratka, a pan niech przyniesie z kuchni zimnej wody.

Podczas gdy Stefan telefonował, pan Florian zdołał ocucić Babcie, stosując delikatne spryskiwanie zimną wodą czoła i twarzy. Przez chwilę wzrok Babci był nieco błędny. Wpatrywała się w pochyloną nad nią twarz pana Wojtaczaka i zdawało się jej, że zna tę krwistą fizjonomię... że gdzieś już ją widziała... ale nagle wrażenie przysło. Ze schodów zbiegła pani Maria, obudzona niecodziennymi odgłosami, w biegu zawiązując szlafroczek.

— Co tu się dzieje? — przeraziła się na widok bladej Babci, siedzącej pod ścianą. — Mamusiu, co tobie?

Schody zadudniły okropnie: komplet młodych Ptaszkowskich, odziany w piżamy, zbiegał na dół, rzeszko pokrzykując.

— O rety! Znów coś się dzieje! — ucieszył się Tunio.

— Głupiecie, chłopaczku — Munio przytłumił brata, dociskając go do poręczy. — Najpierw się rozejrzyj, a potem rozedrzyj. Babciu, co tak siedzisz, biedna?

— Czy się źle czujesz? — troskliwie spytała Rząd-kiewka, z całą ufnością składając F. M. na kolanach Babci.

— Babciu, dlaczego masz krew na czole?!

— Mamo, czy ty nam wreszcie powiesz, co się właściwie stało? — włączyła się pani Maria.

Babcia poczuła, że dłużej zwlekać z odpowiedzią nie może. Ale co ma powiedzieć na temat wypadku temu całemu zgromadzeniu? Babcia nie rozpoznała

napastnika i nie miała żadnej pewności, czy któryś z obecnych dwóch obcych mężczyzn nie jest owym włamywaczem. Stąd brała się niepewność i brak decyzji: czy przyznać się, że nie rozpoznała napastnika? Czy też, przeciwnie, dać do zrozumienia, że doskonale wie, kim on jest? Gubiąc się w myślach, Babcia siedziała z przymkniętymi oczami, nie odpowiadając na pytania. Na szczęście jednak przed domem rozległ się finalny ryk motocykla.

— Jest doktor! — powiedział Stefan i skoczył otwierać drzwi.

Doktor Bratek, wysoki i barczysty, odziany był w podniszczone dżinsy i skórzaną kurtkę; w ręce dzierżył pakowną torbę. Zdziwionym wzrokiem ogarnął grupę, zniemuchomiłą w centrum zagraconego hallu: jej ośrodek stanowiła miła, starsza pani o błędnym wejzeniu, spoczywająca z gracją na obskurnej skrzynce z napisem „Bulgarexport Sofia” i piastująca na podłoku białego kurczaka, podobnego w fioletową kokardę. Obok, trzymając starszą panią za rękę, stała prześliczna blondynka o czarnych oczach, pełnych wrzuszającej bezbronności, które natychmiast sprawiły, że doktor stracił dech. Opodał widniał pomocnik aptekarza i Stefek Adamski, a wokół tych wszystkich postaci roiła się większa ilość bardzo ruchliwych dzieci. Płec ich trudno było określić z uwagi na jednakowe, rozciągnięte, trykotowe piżamy, w które działwa była obleczone.

— Dzień dobry — przemówił wreszcie doktor, z trudem odrywając wzrok od ślicznej pani. — Co tu się właściwie stało?

Wahająca się dotąd Babcia podjęła decyzję: nie może powiedzieć wszystkiego przy dzieciach. Jeśli powie prawdę, nastraszy je tak, że nie usną spokojnie. A jeśli każe im odejść, tym bardziej będą podsłuchiwać.

— Ach, głupstwo — rzekła wobec tego. — Potknęłam się, uderzyłam w głowę i straciłam przytomność. Tu jest tak mroczno, a ja mam bardzo słaby wzrok...

Doktor oglądał babciną głowę. — No, uderzyła się pani dość mocno. Rana jest głęboka, dziwię się, że tak szybko przyszła pani do siebie. Proponuję, żeby się pani jak najszybciej położyła do łóżka, zaraz zrobimy opatrunek. Gdzie jest pani pokój?

Wręczywszy torbę Muniowi, podniósł Babcię jak piórko i w asyście dzieci oraz Mamy zaniósł starszą panią na górę.

Dopiero na piętrze Mama wróciła do równowagi.

— Dzieci! Dlaczego jesteście boso i w piżamach?! Proszę się ubrać natychmiast, i to ciepło! — i wepchnąwszy swoje potomstwo do pokoiku, podażyła za Babcia.

Babcia już leżała w łóżku i przepraszała za bałagan.

— Wielkie rzeczy, bałagan — powiedział doktor Bratek. — Ja jestem strasznie porządny i pedantyczny, ale jak widzę bałagan, zawsze mówię sobie: ech, jakoś to zniosę. I znoszę. — Jego brązowa, pofałdowana twarz zmarszczyła się zabawnie w ujmującym uśmiechu, a małe oczka zmieniły się w wesołe przecinki.

— Proszę pokazać głowę, trochę panią pomęczymy. Koniecznie musi pani zostać w łóżku przez kilka dni. Tak. Teraz zaszycemy ranę i dostanie pani kilka zastrzyków.

— Czy ja naprawdę muszę leżeć?! — jęknęła Babcia. — Tyle roboty w domu!

— Koniecznie! — powtórzył doktor. — Z zimnymi okładami na głowie. Nie radziłbym się forsować, choć wygląda pani młodo i zdrowo.

Babcia spojrzała na niego ciepło.

— Wyglądam młodo?

— Jasne — rzekł doktor z przekonaniem.

— Lubie pana — zdecydowała Babcia. — Jest pan taki miły.

Doktor śmiał się, rozkładając torbę, pełną narzędzi.

— Nie uważają mnie za miłego. No, a teraz proszę się przygotować na kilka ukłuć. I proszę mi powiedzieć, jak to było naprawdę z tym upadkiem?

Zaskoczona Babcia spojrzała ze zmieszaniem.

— Jak to, więc pan się domyślił?

— Jasne. Uderzono panią od tyłu, ciężkim narzędziem, prawdopodobnie metalowym. Kto to zrobił?

— W tym sęk, że nie wiem — powiedziała Babcia i westchnęła, po czym zwięźle opowiedziała doktorowi i córce o wszystkim, co się wydarzyło od rana.

— I pomyśleć — szepnęła ze zgrozą pani Maria — że ja sobie najspokojniej spałam, podczas gdy ten zbrodniarz mógł ciebie nawet zamordować!

— Głupstwa! — fuknęła Babcia. — Mnie zamordować, dobre sobie! Nie takie to proste, jak ci się wydaje! — zastanowiła się. — Powiedźcie mi tylko, czego ten typ szukał w domu pełnym ludzi? I co on nam chciał ukraść, przecież nie mógł podejrzewać wdowy z trojgiem dzieci i staruszką o posiadanie jakichś wielkich pieniędzy. Chyba że ja wyglądam

na kogoś takiego, kto ma w komodzie ze trzy pończochy wypchane złotem.

— Nie, nie wygląda pani — powiedział doktor, który przy słowach „wdowa z trojgiem dzieci” spojrział uważnie na panią Marię, czując przy tym jakiegoś ciepło wokół serca. — On nie panie chciał okraść. Tu już się włamywano za czasów pana Zielińskiego. Chodziły słuchy, że pan Zieliński znalazł skarb, sam zresztą wspominał mi o tym. Leczyłem go, potem się zaprzyjaźnił, więc miał do mnie zaufanie. Nie na tyle jednak, żeby powiedzieć mi coś bliższego na temat tego skarbu. Bardzo tym był przejęty, zdaje się, że to była trochę taka mania.

— I włamywano się do niego, mówi pan? A skarb?

— Pan Zieliński twierdził, że przeszukiwano bezskutecznie cały parter i bibliotekę. Bezczelni rabusie robili to w jego obecności. Był ciężko chory i wtedy już nie mógł podnieść się z łóżka.

— No to miejmy nadzieję, że dzisiejsze przynajmniej włamanie się powiodło — powiedziała Mama. — Może znaleźli, co chcieli, i już nam nie grożą dalsze atrakcje.

— A co milicja na te wszystkie włamania?

— Pan Zieliński nie zawiadamiał milicji, bo niczego nie ukradziono — wyjaśnił doktor.

— Ale my zawiadomimy — Babcia poprawiła się na poduszkach. — Marysiu, zadzwonisz po milicję. Ostatecznie, są tu dzieci i o nich musimy myśleć przede wszystkim.

Doktor przyznał jej rację.

— Dzieci! Ach, one nie mogą wiedzieć o niczym — powiedziała Mama pospiesznie. — Wszyscy troje

są tacy wrażliwi, prawda o tym wypadku mogłaby bardzo zaciążyć na ich psychice.

Babcia wyglądała, jakby nie była o tym przekonana. — Młode nosorożce — mruknęła zagadkowo.

Doktor uśmiechnął się, obiecał wpaść po południu i ucałował dłoń Babci na pożegnanie.

Zeszli z Mamą do hallu, gdzie wśród porostawianych puszek i drabin tkwiła Rzodkiewka, mieszając patykami w kubie. Panowie Wojtczak i Adamski zmywali ściany łazienki.

— Zaczeliśmy, nie czekając na panią — oświadczył pan Wojtczak z zapalem. — Umieszałem już kolorek, proszę rzucić oczkiem, czy odpowiedni.

— Tu masz ten kolorek — powiedziała Rzodkiewka z obrzydzeniem. Patyk, który wyjęła z kubła, był przeraźliwie różowy.

Deszcz lał ciagle.

Chłopcy stali pod okapem drewnianego ganku. Mimo prezorności Mamy i tak wiedzieli już wszystko na temat wypadku: panowie Florian i Stefan nie mówili o niczym innym przez ostatnie pół godziny. W ten to sposób Tunio i Munio poznali całą sprawę ze szczegółami. Nawet historia poprzednich włamań została im przekazana ustami pana Wojtczaka.

— A dzisiaj włamywał się ten sam, ja wam to mówię — twierdził dżentelmen z apteki.

— Jasna sprawa — zgadzał się Stefan. — Znowu szuka tego skarbu.

Tunio uważał, że wszystko to jest podniecająca fantazja, jednocześnie podziwiając potężny motocykl

doktora, ustawiony pod ścianą domu. Było to istne чудо, błyszczące niklem i jasnoczerwonym lakierem, świecące jak purpura gwiazda na tle odrapanych ścian domu.

— Czy będziemy mogli przejechać się z panem? — usłyszał doktor, gdy tylko pojawił się na ganek.

— Jasne! — rzekł doktor życzliwie i ze zrozumieniem. — Tylko nie teraz, koledzy. Teraz bardzo się spieszę. Ale będę u was jeszcze po południu. — Wskoczył na siodełko ryczącego motoru, uśmiechnął się przyjaźnie i ruszywszy wspaniałym zrywem, zniknął w strumieniach deszczu.

— Miły człowiek — powiedział Munio, patrząc za nim życzliwie.

— Tak, sympatyczny facio. Coś jeszcze, panie Mundeczku?

— Cóż takiego, przyjacielu?

— O włamanku ani słowa? Trzeba by zająć jakieś stanowisko. Osobiście jestem zdania, że powinniśmy sami przylapać tego drania i sami znaleźć skarb.

— Och, och — mruknął Munio ironicznie. — I pewnie nie powiedzieć milicji ani słowa?

— Tak, właśnie, właśnie.

— Dziecino — rzekł Munio z odcieniem zniecierpliwienia. — Zawsze ubolewałem nad tym, że czytasz za mało. W każdej niemal powieści dla młodzieży dzieci szukają skarbu. Zawsze bez porozumienia z milicją, to reguła. Oczywiście, zbrodniarza demaskuje jakiś dzielny kapitan, a skarb okazuje się fikcją w rodzaju nieciekawego rękopisu lub czegoś równie głupiego.

— Ale może w tym wypadku chodzi o jakieś brylanty? Albo złote monety? — zapalał się Tunio, szarpiąc w podnieceniu białą czuprynę. — Ja, gdybym znalazł skarb, zaraz bym sobie kupił rower z przerzutką.

— Odrażający dusigrosz. Składasz sobie do tej skarboneczki i składasz. Nareszcie wiem, na co. Rower z przerzutką!

— No, co, a ty całe swoje kieszonkowe wydajesz na książki. I co? Książek i tak wszędzie pełno, a na rower sobie nie uskładasz.

— Rower, mój maleńki, jest mi zbędny, ponieważ i tak dasz mi pojeździć na swoim. Powiem ci tylko to: wybij sobie z głowy jakieś naiwne śledztwa, przeprowadzane we własnym zakresie. To zbyt banalne. Jazda, wracamy.

Manny nie było w hallu.

— Poszła na górę — poinformowała ich Rzodkiewka, mieszkająca z zapalem jakieś dziwne kolory. Na policzkach miała ciemnowiśniowe wypieki, grzywka stała jej dęba z przejęcia. Panowie Wojtczak i Adamski kończyli bielenie sufitu.

— My też chcemy malować! — zażądali bracia. Stefan uświadomił im, że łazienka jest malowana farbą emulsyjną.

— Rozpuszcza się ją w wodzie, ale jak zaschnie — nie da się zmyć — uprzedził. — Lepiej zdejmijcie te ładne sweterki, bo na nie kapniecie.

Bracia byli przekonani, że Stefan przesadza.

— Będziemy uważać — zapewnili. Zabrali się do pracy z wielkim zapalem; łazienka była nieduża, toteż zanosilo się na to, że przy takiej

ilości rak do pracy nie starczy ścian dla wszystkich chętnych. Munio i Tunio pracowali wydajnie, pokrywając ścianę obłędnym różem w tempie wcale niezłym, jeśli zważyć, że bokami objali się o drabiny, a plecami o Rzodkiewkę, która coś tam mazała przy ścianie przeciwniejszej. Pełną skupienia ciszę przerywały tylko ostrzeżenia w rodzaju:

— Uważaj na sweter, na drabinie jest kropla farby! Pan Wojtczak kończył bielenie sufitu. Odsapnął, zszedł o stopień niżej, odwrócił się na drabinie i nagle wrzasnął:

— Matko Boska!!! Co ty robisz?

Wszyscy obecni, wstrząśnięci, spojrzeli na Rzodkiewkę, która kulila się przy ścianie. W obu usmarowanych łapkach, sztywno wyciągniętych przed siebie, trzymała słoik z pomarańczową farbą i pędzel.

— Ma-maluję... sobie... — bąknęła, nieco zbита z tropu.

Oczy zebranych przeniosły się na ścianę, pod którą dotąd działała Monika. To, co ujrzeli, zaparło im dech w piersiach: na całej szerokości ściany widniał gigantyczny, płomienny kot. Białe źrenice jego wytrzeszczonych oczu rzucały fanatyczne spojrzenia. Jedno oko patrzyło na wannę, drugie w sedes. Rozłożysty zad potwora wypinał się znienacka ku górze, przechodząc płynnie w ogon, grubości rury od piecyka. Jeden kącik purpurowych ust wyginał się ku górze w złowieszczym uśmiešku, odsłaniając zęby aligatora i rozdwojony jak u zmił język.

Wrażenie było piorunujące. Twórczyni przyjęła to z zadowoleniem.

— Miałas przecież — jęknął Stefan — malować ścianę na różowo!

— Ten kolorek mi się nie podoba — powiedziała pogardliwie Monika. — Taki kolorek to dobry na majtki.

— Oooo! — powiedział pan Wojtczak ze zgrozą.

— Kotek jest pierwsza klasa — zawyrokował Munio. — Ale go zaraz zmyjemy.

— Nie dam!!! — wrzasnęła Monika.

— Upiorny jest — przyłapał się Tunio. — Będzie bał sam tu siedzieć — zachichotał dowcipnie.

Stefan przyznał rację Muniowi, ale radził spytać o zdanie panią Ptaszkowską.

— Mamaaa!!! — wrzasnęła Monika od serca.

Pantofle Mamy załomotały na schodach.

— Co tu się znowu stało? — spytała przestraszona.

— O! — pokazał palcem pan Wojtczak.

Mama spojrzała, wzdrygnęła się i powiedziała:

— Ach, ach. Jaki śliczny! — Tak jak zawsze, gdy chwaliła obrazki namalowane przez swoje dzieci. Ale to nigdy nie były obrazki malowane na ścianie.

— Czy ty naprawdę nie chcesz tego zmyć? Tego

— ehm — kota?

— Mamusiul! — pisała z wyrzutem Rzodkiewka.

— Jak to — zmyć! Ja cię tak proszę! Zresztą to wcale nie jest kot! — dodała, jak gdyby ten fakt mógł cokolwiek zmienić.

— A co? Co to miało być? — zainteresował się

Munio.

— Tygrys-ludojad. Tylko że nie zdążyłam pomałować go w paski. Ja wszędzie chcę wymalować

okropne rzeczy. W hallu będą dwa lwy i szubienica, a na ścianie przy schodach — dzika świnia zarazona wścieklizną.

— Na miłość boską — zaczęła Mama, lecz Rząd-
kiewka nie dała jej dojść do słowa.

— To na postrach dla tego włamywacza, który uderzył Babcię. Jak on tu jeszcze raz przyjdzie, to się przestraszy i ucieknie od tych moich obrazów. Albo po prostu strach go zabije.

Mama stała przez chwilę z niezbyt mądrym wyrazem twarzy. — „Młode nosorożce, młode nosorożce...”

— tłukło jej się po głowie. Wreszcie otrząsnęła się.

— Skąd ty wiesz o włamywaczu, Rząd-
kiewciu? — spytała.

— No, jak to, no przecież go widziałam! — odparła Monika z prostotą, zdziwiona, że ktoś ją pyta o rzecz tak oczywistą.

— Ach! Ach! — dał się słyszeć nagły krzyk. Pan Wojtczak zachwiał się na szczycie drabiny, jakby nagle nogi mu odmówiły posłuszeństwa. Runął w dół jak kamień i soczyscie plasnął o posadzkę tylną częścią ciała. Po drodze zawadził ramieniem o piecyk nad wanną. Z zawieszonego na ramieniu kubelka wylała się farba emulsyjna biała, bogatą kaskadą zlewając od stóp do głów obu braci Ptaszkowskich wraz z ich swetrami. Malownicze bryzgi osiadły także na twarzach i na odzieży pozostałych osób oraz na ścianach i na większości przedmiotów znajdujących się w łazience.

Nastąpiła chwila strasznej ciszy, w której tym bardziej złowieszczo szemrała emulsja, ociekająca z Munia

i Tunia. Pan Wojtczak, jak kupka białego nieszczęścia, mazał się powoli w kałuży farby na posadzce.

— To jak będzie, manusiu, z moim tygrysem? — spytała Rząd-
kiewka z dużym wyczuciem sytuacji.

— Ech, co tam tygrys — odpowiedziała Mama słabym głosem. — Tygrys już mi zupełnie nie przeszkadza.